

Lenora



ANTONI LANGE

W CZWARTYM WYMIARZE

Lenora

Od dwóch dni Konrad stale powracał do Akademii Sztuk Pięknych w Wenecji — i ciągle się zatrzymywał czas dłuższy przed jednym i tym samym obrazem. Płótno czarowało go w sposób magnetyczny — i chociaż go nęciły dzieła innych mistrzów, może nawet większych, niż autor obrazu, co go przykuwał, to jednak Konrad powracał wciąż do swego Lorenza Veneziana, malarza z XIV w., prymitywa bardzo naiwnego, który jednakże zapanował nad duszą czymś... czymś tajemniczym, czego nie mógł sobie Konrad wytłumaczyć... Na widok tego obrazu kołysało go jakieś wzruszenie, rozkoszne i rzewne, bardzo bliskie i bardzo własne...

Dotychczas jednak nie rozwiązał zagadki: dlaczego na widok tego obrazu roją mu się zaraz w duszy jakieś sny z dziecinnych lat, dlaczego mu się ukazuje zaraz jakaś twarz niewyraźna, ale nie obca, woniejąca kwiatem świętości, dlaczego serce mu bije tak mocno, jakby wobec jakiejś rzeczy przeczuwanej a niespodziewanej?...

Płótno — właściwie tryptyk — wyobrażał z prawej i lewej strony kilku świętych, jak św. Jana Chrzciciela, św. Mikołaja i innych.

Konrada jednak interesowała przede wszystkim część środkowa tryptyku, w której promieniała Madonna. Ależ niejedna Madonna była w tej sali: większość obrazów właśnie w barwach czerwonych, złotych i niebieskich — rozwijała kult Bogarodzicy.

Ale nad duszą Konrada zapanowała Madonna Lorenza Veneziana. Obraz przedstawiał Pozdrowienie anielskie. Madonna w koronie i przejrzysto-powietrznej białozłotej aureoli, o nadziemskim obliczu, rysów delikatnych, pociągłych, mistycznych, jakich zapomnieli mistrze odrodzenia — Madonna, na wskroś dziewicza, niemal dziewczęca — siedzi na tronie, przyodziana szatą błękitną, złotymi gwiazdy haftowaną, jako prawdziwa *Regina coeli*¹: przed nią stoi anioł złotoskrzydły, z lekka nachylony: płaszcz ma błękitny z zieloną podszewką; lewą ręką płaszcz podtrzymuje, a prawą podniósł do góry, złożony palce i tylko dwa wystawiwszy...

Najbardziej tajemniczy szczegół tego malowidła były to ręce Madonny; dłonie na krzyż złożone, o palcach blado-różowych, podłużnych, cieniejących ku dołowi, niemal przezroczystych, prześwieconych słońcem, prawie niematerialnych, zakończonych łagodnym szeregim różowo-promiennych, księżycowatych paznokci.

Przyglądał się przede wszystkim tym mistycznym, niby z eteru splecionym, bezcielesnym palcom — i właśnie, kiedy jego pamięć najenergiczniej pracowała — uczył naraz² jakiś obcy fluid w swej istocie; uczył, że nie myśli już sam, ale że ktoś mu pomaga w myśleniu. Lekki, słodki dreszcz wstrząsnął nim całym, kiedy nareszcie zagadkę rozwiązał i sformułował:

— Ach Boże! Toż takie same ręce ma Ostrobramska Madonna.

I w tej samej chwili, kiedy to pomyślał — rytmicznie niemal w takt jego własnych słów brzmiały, usłyszał poza sobą głos, dźwięczny i melodyjny, a który był niby echem jego myśli.

— Ach Boże! Toż takie same ręce ma nasza Matka Boska Ostrobramska.

Osoba, która mówiła te słowa po polsku, śpiewając przy tym z białoruska, dodała jeszcze:

— Nieprawdaż, mamó?

¹*Regina coeli* (łac.) — królowa niebios. [przypis edytorski]

²*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

— *C'est bien vrai, Lénore*³ — odrzekła towarzysząca jej starsza dama, przyglądając się obrazowi przez szkiełka na złotym łańcuszku.

Konrad się odwrócił. Przed obrazem stały dwie panie, obie ubrane czarno, w żałobie, starsza dama z młodą panną, osobą niezwyklej urody, a która w pierwszej chwili wydała się Konradowi podobną do anioła z tegoż obrazu. Głos jej miał w sobie, bądź jak bądź — jakąś melodię anielską.

Oczy miała szaro-niebieskie, jak jeziora witebskie, powłóczyste, zamyślone w sobie i zapatrzone w głębie.

Panna nie była starsza nad 22–23 lata: wybujała i wiotka, ale zbudowana mocno i sprężyste; biodra miała należycie uwydatnione, a piersi takie, jakie miałyby Wenus Anadiomene, nieco starsza niż ją rzeźbią zazwyczaj. Robiła wrażenie istoty bogatej zarówno cielesnie, jak i duchowo. Twarz była biała, spokojna, twarz marzycielki tkliwej i skłonnej do rozmyślań.

Konrad bez wątpienia przeczuł obecność jej osoby, zanim jeszcze usłyszał jej głos — i nieświadomie a mimo woli wszedł z nią w komunikację duchową — i głównie go zastanowił fakt (czyżby przypadek bez znaczenia?), że kiedy sam sobie szeptał formułę ostateczną co do obrazu Veneziana, ona literalnie prawie te same słowa wypowiedziała głośno.

Spojrzał na dwie damy i do młodszej rzekł po polsku:

— Toż samo powiedziałem sam sobie w tej chwili. Zda mi się, jakby pani te moją myśl przeczuła, jakby pani mi ją podsunęła, panno Lenoro.

Ona zaś, jakby dla niej te słowa nie były czymś niespodziewanym, odparła natychmiast:

— Tak samo mnie się wydawało... Czulałam, że ktoś koło mnie myśli tymi samymi słowami...

— A więc pani zawdzięczam, że odgadł tę tajemnicę, która mnie dręczy od paru dni, gdyż dopiero w chwili, gdy pani obecność mnie owionęła, wyjaśniłem sobie tajemnicę. Mam wrażenie, jakby istniała nieokreślona łączność pomiędzy panią a tym obrazem, pomiędzy mną a panią... Czuję, że mogłaby pani być osią żywota dla jakiejś duszy osamotnionej i zabłąkanej na ziemi. Dusza twoja, panno Lenoro (przepraszam panią za poufałość, ale tylko imię pani znam) — w jednej chwili jakby przeniknęła w moją duszę...

— *Mais c'est drôle ce que vous dites là, monsieur*⁴! — zawołała mama, o której obecności Konrad zdaje się całkiem zapomniał. — Rodaka miło spotkać na obczyźnie, ale pan tak obcesowo już się oświadcza, a my nawet nie wiemy, z kim mamy zaszczyt.

Konrad przepraszał za swoją śmiałość i za to, że naruszył niektóre formy światowe; ale wiedział, że Lenora nie gniewa się na niego; że pomiędzy nimi w jednej chwili nastąpiło porozumienie. Przedstawił się mamie: był technikiem, miał posadę w cukrowni na Ukrainie, wyjechał za urlopem, aby trochę odpocząć: za parę tygodni powraca do domu.

Pani N. była obywatelką z Mińszczyzny i obecnie zjechała do Wenecji na powrotnej drodze z Rzymu, dokąd odbyła pielgrzymkę, chcąc w świętym mieście pomodlić się za niedawno zmarłego męża, gdyż zapewniano ją, że to jest i w dobrym tonie i bardzo pomocne na smutek wdowieński. Lenora jej towarzyszyła.

— *C'est ma fille bien-aimée*⁵ (mama lubiła niepotrzebnie parlować po francusku), *mais elle est si extraordinaire! On dirait une sonmambule*⁶!

— O już też mama robi mi opinię!... Pan może myśleć, że jestem obłąkana...

— Niech Bóg broní — zastrzegł się Konrad — ale od pierwszej chwili, zanim jeszcze pani się odezwała, zanim się odwróciłem, zanim panią zobaczyłem — odczułem koło siebie atmosferę, która zapewne wynikała z pani fluidu, a która świadczy, że w pani tkwi utajona jakaś istota nadmaterialna, źródło jakiejś nieznanej potęgi...

— Proszę bardzo, żeby pan mojej córce takich rzeczy nie mówił. Ona i tak jest nerwowa, a jeżeli pan się zbliża „w zamiarach”, to niech się pan zachowuje po ludzku. Przy

³*C'est bien vrai, Lénore* (fr.) — to prawda, Lenoro. [przypis edytorski]

⁴*Mais c'est drôle ce que vous dites là, monsieur* (fr.) — ale to śmieszne, co pan tu mówi, proszę pana. [przypis edytorski]

⁵*C'est ma fille bien-aimée* (fr.) — to moja ukochana córka. [przypis edytorski]

⁶*mais elle est si extraordinaire! On dirait une sonmambule* (fr.) — ale ona jest nadzwyczajna. Można powiedzieć, że lunatyczka. [przypis edytorski]

tym wszystko to, co pan mówi, jest bezbożne — i nie wiem, czy pan nie jest jaki heretyk albo farmazon⁷...

Pierwszy raz w życiu przyszło Konradowi na myśl, że można z panną rozmawiać „w zamiarach”. Ponieważ panna bardzo mu się podobała, nie widział nawet w tym wyrażeniu nic nieodpowiedniego.

Wędrowcy nasi, pożegnawszy obraz Veneziana — w niedługim czasie przejrzeni inne sale Akademii — i wyszli na plac, gdzie przede wszystkim u straganiarza kupili w dwóch egzemplarzach barwną kopię tegoż tryptyku; po czym wzięli gondolę i popłynęli w stronę arsenału.

Mama, uzbroiwszy oczy w szkiełka na złotym łańcuszku, przyglądała się pałacom i kościołom na prawym i lewym brzegu kanału; Konrad oddał się kontemplacji panny Lenory, która go od pierwszej chwili bardzo zajęła.

To szczególne spotkanie jednej myśli, poprzedzone dreszczem specyficznym — stało się dla niego źródłem czarownych marzeń i wrażeń. I Lenora w jednej chwili uległa podobnym uczuciom. Zdawało się jej, nie wiadomo dlaczego, że od dawna doskonale zna Konrada — i czuła się z nim jakby stara znajoma, pełna wiary i zaufania. Konrad, co musimy objaśnić dla czytelnika, zajmował się od długich lat sztuką hipnotyzmu; zwłaszcza sugestią wzrokową, poddawanie obrazów dowolnej treści i charakteru — była jego ulubioną dziedziną doświadczeń: doszedł pod tym względem do wprawy niepospolitej — i prawie każda jednostka, czy to bardzo wrażliwa i podatna na wpływy magnetyzera, czy też najzupełniej oporna — poddawała się prędzej czy później jego wpływowi, jako posłuszne medium.

Znany był w swoim czasie fakt, że kiedy przybył na Ukrainę (tam właśnie, gdzie stała cukrownia Konrada) książę Z., słynny ze swoich polowań na lwy w Afryce środkowej, i przypadkowo zapoznał się z Konradem, o którego „czarnoksięstwo” niemało był słyszał: ironicznie go poprosił, aby na jego rozkaz zjawili się w parku stado lwów. Park w dobrach księcia Z. był olbrzymich rozmiarów: podobno koło dziesięciu włók⁸ obejmował, a książę hodował w nim jelenie i łosie.

Konrad swoim głębokim, czarnym, przenikającym okiem — chwilę popatrzył w oczy księcia — i ten niezadługo potem ujrzał wychodzącego z puszczy groźnego lwa: za nim wyszły dwa inne — i jeszcze dwa — i coraz więcej — jeden za drugim albo gromadkami w szeregu; szły całe stada przerażających bestii, wprost na księcia, aż się zbliżyły do niego o ćwierć kilometra, błyskając ognistym ślepiem, bijąc w zady ogonami i otwierając szeroko swe czerwone, białymi kłami zbrojne paszcze. Książę — mówiąc prawdę — pierwszy raz w życiu zbladł, nie tyle z trwogi, ile ze zdumienia... Naraz widzenie przysło: lwy zniknęły. Tak potężna była siła sugestyjna Konrada, ale umiał on podobne zjawy na odległość nawet wywoływać. I kiedy książę nocą udał się na spoczynek — nagle ujrzał w swej sypialni — stojące przy łóżku dwa lwy, groźnie zapatrzone w niego i gotowe do skoku. I to widzenie nagle znikło; była to kara za drwiny.

Tu jednak — wobec Lenory, Konrad po raz pierwszy znalazł się w takim położeniu, że nie wiedział dokładnie, czy to on oddziaływa na Lenorę, czy też ona na niego: czy to ona jest medium, czy też on ulega jej potędze magnetycznej. Bo poza wszystkim innym przyłączył się tu inny sentyment, który dotychczas w życiu Konrada grał rolę drugorzędną — miłość.

To było jasne: on kochał Lenorę, Lenora jego kochała... I ta miłość zakwitła w nich obojgu, zanim jeszcze się zobaczyli, zanim przemówili do siebie. Fluid tego uczucia krążył już po powietrzu — tam w galerii sztuki — przed obrazem Lorenza Veneziana — zanim jeszcze oboje wiedzieli o swoim istnieniu: dreszcz, jaki w pewnej chwili przeszedł oboje, był momentem zwiastowania i krystalizacji tej miłości.

I poczuli od razu i jednocześnie, że w tej miłości jest coś, czego nie zwycięży ani czas, ani przestrzeń; że będą zawsze i wszędzie ze sobą, choćby byli na dwóch krańcach ziemi.

Rozkosz obcowania była dla nich w tym momencie jakby kołysaniem się na falach nieskończoności — tak, iż wszystko, co ich otaczało, wydawało się im rzeczą bezwzględnie małą, prawie że samym niebytem. Świat się dla nich zaczynał i kończył na nich dwoj-

⁷farmazon — zniekształc. fr. *franc-mason*, tj. wolnomularz. [przypis edytorski]

⁸włóka — daw. miara powierzchni gruntu. [przypis edytorski]

gu. Przenikali się wzajem, jedno stawało się drugim, przestawało być sobą, wcielało się wzajemnie...

Po dwóch tygodniach zjednoczenie ich dusz było całkowite. Lenora z rozkoszą i ufnością poddawała się mocy duchowej Konrada — i ostatecznie to zjednoczenie przybrało tony barw jego duszy.

— Dobrze mi tak — dobrze mi z tobą! — zdawała się mówić Lenora, upojona, niepompna niczego, prócz tych krain marzenia, do których ją wprowadził Konrad.

Powrócili razem, ale w Warszawie musieli się pożegnać. Lenora z matką pojechały w Mińskie, Konrad na Ukrainę.

Mama, jako osoba praktyczna, natychmiast po zapoznaniu się z Konradem — napisała do pewnej ciotki, mądrej i wszechwiedzącej, aby ta dowiedziała się o Konradzie: kto, co, gdzie, jak, ile itd.

Referencje miała doskonałe, a że panna była zakochana, młodzieniec przystojny i wielkich zalet — więc, gdy nadeszła chwila, że Konrad się oświadczył o Lenorę pani matce, ta pobłogosławiła ich uroczystie, dając im jednocześnie niemało rad pełnych zdrowego rozsądku — i postanowiła, że skoro tylko żałoba się skończy, pojedą do Rzymu i tu, w samej bazylice, zawarty będzie związek Lenory z Konradem.

Konrad był skrupowany pracą w fabryce, zapowiedział jednak, że skoro tylko będzie mógł, przyjedzie do nich na wieś. Jakoż był parę razy, zawsze tylko na dwa-trzy dni — i natychmiast musiał powracać. Każdy taki przyjazd był dla obojga młodych źródłem nowego szczęścia i nowych marzeń.

Tymczasem nadszedł luty r. 1905. W połowie lipca Konrad, jako chorąży zapasu⁹ — wezwany został pod broń. W ciągu tygodnia miał się stawić w pułku, który natychmiast wyruszał do Mandżurii.

Oczywiście Konrad skorzystał z czasu, aby pożegnać rodzinę oraz narzeczoną.

U krewnych w sąsiedztwie fabryki pobawił dzień jeden — i wyruszył w Mińskie.

Blisko dwie godziny drogi konnej dzieliło go od stacji. Konrad był już w ubraniu wojskowym, pełny myśli ponurych i złowróżbnych... Sosnowe lasy, wzdłuż traktu idące, szumiały mu glucho, jakby wszystkie skargi świata w nich się splątały, a złocejące łany zboża kołysały się pólennie i rozżalone.

Na skrócie drogi, koło krzyża, gromada kawek nagle uleciała w górę, z głośnym krakaniem, jakby przerażona czymś nieznanym.

Było już niedaleko N., dokąd udawał się nasz chorąży, wezwany na wojnę. Dwie, trzy wiorsty najwyżej dzieliły go od dworu. Tu mur z kamieni płaskich, wapnem połączonych, na przestrzeni kilku morgów — otaczał cmentarz miejscowy. Skromne drewniane lub metalowe krzyże, lampki i wieńce, figury świętych pańskich — w otoczeniu wierzb i brzoź, w glogach i czeremchach — widać było z drogi, ponad niewysoki mur wystające. Ubogie to były groby wieśniacze, a wśród nich bardziej wytworny, żelazną sztachetą oddzielony, grobowiec rodziny N. Była tu mała kaplica, na której fasadzie — pod szczytem — ujrzał Konrad — świeżo zapewne pomieszczony, szkłem osłonięty barwny obraz.

Była to Madonna Lorenza Veneziana.

Obok kaplicy groby z marmurów kieleckich albo z granitów fińskich — postacie aniołów, z brązu kute lub wyciosane z kamienia.

Natarczywie ten grobowiec przyglądał się Konradowi, który mimo woli powiedział sobie:

— Tu będzie moja ostatnia siedziba...

Po chwili zaś dodał:

— A może i nie!

I w tej samej chwili przecząco zakolysały się gałęzie sosen nad grobowcem, jakby mówiły również: A może i nie!

W oczach Konrada zamigotały dalekie a nieznanne krajobrazy Mandżurii, które wyobrażał sobie podług opisów i opowiadań... W każdym razie miał wrażenie, jakby udawał się w próżnię...

Tak, może nie będzie spoczywał w jednym grobie z Lenorą.

Wkrótce potem szeroką aleją wjechał na dziedziniec dworski i stanął pod gankiem.

⁹chorąży zapasu — dziś: chorąży rezerwy. [przypis edytorski]

Lenora czekała na niego — milcząca i smutna. Co można powiedzieć człowiekowi, jadącemu na taką obojętną wojnę? Lenora milczała: ona już tyle dni i nocy przepłakała i przemarzyła boleśnie nad tym wyjazdem Konrada, że tylko milcząc rzuciła mu się w ramiona i całowała go, jak sierota, która utraciła rodziców.

Mama była tak wzruszona, że nie mogła się od łez powstrzymać — i zdaje się nie widziała dla Konrada innego ratunku, jak zaprosić go na obiad, złożony z dań wyborowych i rozmaitych, pod specjalnym jej dozorem przygotowanych; chciała, ażeby Konrad przed tą śmiertelną wyprawą zjadł smacznie i obficie — i pilnowała go nieustannie.

Konrad jednak był ze wszystkich najspokojniejszy. Wierzył, że nic mu złego się nie stanie, i nawet żartował, zapewniając przyszłą teściową, że dzięki swoim praktykom magnetycznym, które matka Lenory uważała za coś diabelskiego, potrafi zażegnać wszystkie kule i potrafi zatrzymać dostęp śmierci do siebie.

Wszyscy koniec końców uwierzyli w tę moc Konrada — i Lenora nawet się uspokoiła, choć jej serce biło trwogą, że jednak Konrad znajdzie się w Bóg wie jakich niebezpieczeństwach, w kraju dalekim, nieznanym, w pustyni, wśród ludów obcych, dzikich, rozpalonych walką —

A jeżeli będzie ranny — a jeżeli będzie głodny, stęskniony, samotny — kto go dopilnuje, kto go nakarmi, kto go pocieszy? kto go ucałuje? Kiedy wróci i czy wróci?

Po obiedzie Konrad z Lenorą poszli do ogrodu — i tu, choć Lenora dotychczas starała się wszystką siłą ducha utrzymać, to jednak nie mogła już dłużej wytrwać w tym stanie — i rozplakała się bezsilna.

— Czy nie zginiesz? Czy powrócisz?

To była oczywiście główna jej troska wobec tego groźnego zjawiska, które bezwładną ludzką wolę kierowało w stronę konieczności zimnej i nieubłaganej.

— O Boże, spraw, aby Konrad powrócił!

— Lenoro — mówił do niej on, pełny najwyższego spokoju, i spoglądał na nią, raczej w samą treść jej źrenic i jej duszy — ufaj mi, że stanie się wszystko, jak tego los zażąda. Jestem czasem fatalistą — wierzę, że co bądź się stanie, będziemy się musieli ze sobą zobaczyć. Idę w niewiadomą otchłań, na nieznanne pole żywota. Tam działa grzmiały, gromy huczą, krew płynie strumieniami. Tam z gardzieli Fudzijamy płynie ognista lawa; gromady złotolitych duchów, rozkwitając w słońcu chwały wschodzącej, wyruszyły na srebrne równiny północy i nową epokę dziejów zaczynają. Kule ślepe, szalone świszczą dokoła wśród pól gaolanu; wśród tego ognia dusza moja przepali się choć trochę płomieniem krateru japońskiego — i uzyska moc nową, jakiej dotąd nie miała. Czyli wrócę, czy nie wrócę — nie wiem, ale czuwać nade mną będzie pamięć wieczna tego spotkania naszego pod obrazem Lorenza Veneziana. Te białe-różowe, przejrzyste, bezcielesne ręce Madonny będą odpędzać ode mnie miecze i kule nieprzyjaciela. Za mną pójdzie pamięć twoich źrenic, twoich uśmiechów, twego głosu — i wśród tej posoki krwi czerwonej i szerniałej pamięć twoja będzie mi tarczą, która wśród wycia kartaczów i jęku rannych stanie mi się ochroną i osłoną.

— A gdy dotknie ciebie rana, gdy ci tryśnie krew czerwona, kto nad tobą czuwać będzie? Obca ręka cię osłoni, pielęgnować będzie ciebie! Ja — ci będę zbyt daleka, ja ci będę niepotrzebna. Gdybym była uskrzydłonym ptakiem, co po chmurach lata — poleciałabym za tobą, by nad tobą czuwać ciągle. Poleciałabym na owe pola zimne i dalekie, aby rany twe przewiązać, aby krew ci zatamować, aby jadło twoje warzyć, by ci puchar dać leczniczy. Ach, a jeśli zginiesz w bitwie, od japońskich kul¹⁰ przebity, cóż uczynię na tej ziemi, ja sierota beznadziejna! Nawet gdybym na twym grobie we łzach chciała się pomodlić, nie znalazłabym w pustyni twej mogiły niewiadomej! Chcesz, to pošlę w świat za tobą — swoje oczy, szare ptaki — abym ciągle była z tobą, była w tobie i przy tobie. Byś je widział nieustannie, jak ja widzę twoje oczy, twe ogniste czarne oczy, co czuwają wciąż nade mną.

— Twoje oczy są mi gwiazdą, co mnie będzie wiodła w dale do tych pustyń zabajkalskich, gdzie śmierć blada dziś tańczy — i chorowód¹¹ swój prowadząc, morzem krwi rozweselona, żywot kosi za żywotem. Tam ty jednak będziesz dla mnie osią marzeń mych

¹⁰od japońskich kul — dziś popr.: przez japońskie kule. [przypis edytorski]

¹¹chorowód — dziś popr.: korowód. [przypis edytorski]

i czynów. Dusza moja za tą gwiazdą będzie krążyć nieustannie, jak słońce się obraca za ognistą słońca tarczą. Pamięć twoja w sercu moim moc rozpali niewzruszoną; żadna strzała mnie nie zrani, żadna kula nie przebiję. Moc mam z ciebie tajemniczą: niechaj walka huczy wkoło, niech grzmia działa i szimozy¹², jam jest wszędzie nietykalny. A choćby mnie grób pochłonił, choćbym runął gdzie zabity, to przełamię grobów ciemność i na świat się wydobędę — i tu stanę pod twym oknem i wśród nocnej ciszy mroku wielkim głosem twoje imię wołać będę, o Lenoro! Wierz mi, słuchaj mnie, Lenoro — w tym momencie ostatecznym, ty jedyna w mojej myśli będziesz żyła, o Lenoro! i jeżeli zginę — zginę z twym imieniem, o Lenoro!

Rzuciła mu się w ramiona — i płakała gorąco; płakała razem gorzko i słodko nad nim i nad sobą. Zebrała bukiet róż i głogów, stokrotek i niezapominajek — i dała mu tę wiązaną, którą on przycisnął do serca, jako drogą pamiątkę: w zapachu tych kwiatów był zapach jej rąk, jej łez i jej duszy.

Po dwóch dniach opuścić musiał ten dom, w którym połowę swej istoty pozostawił. — Obiecał pisać — i rzeczywiście przez dłuższy czas, co parę dni, co tydzień pisał do niej z drogi, z Charbina, z Mukdenu, z Laojanu... Potem listy były rzadsze, czasami przychodziło po dwa-trzy jednocześnie. Na koniec ustały zupełnie: może zginął w bitwie — może gdzieś krąży po okolicach pozbawionych komunikacji — może gdzieś przepadł bez wieści w tych pustyniach...

Lenora z matką uważnie czytały gazety — i te wieści o klęskach nieustannych, połączonych ze śmiercią tylu ludzi — robiły na nich wrażenie nad wyraz bolesne, gdyż w każdym rannym i zabitym przeczuwały Konrada. Była też specjalna gazeta, w której wyliczano imiona i nazwiska wszystkich rannych, zabitych i przypadłych, co bądź zbiegli, bądź dostali się do niewoli.

Ale dotychczas, do połowy października — nazwiska Konrada w tych spisach nie widziały.

Była cicha noc październikowa; chłodno już było, ale w powietrzu panowało milczenie bez poszumy; niebo też błękitniło się czyste i jasne — i tysiące gwiazd promieniało na bezchmurnym niebie.

Matka Lenory udała się na spoczynek, a samotna kochanka Konrada rozmyślała wciąż o nieobecny — i pomimo wszelkie dobre znaki, albo raczej brak złych¹³ wieści — na sercu jej leżał ciągle wielki dręczący ciężar najczarniejszych przypuszczeń.

Stara Maciejowa, dawna niańka Lenory, czuwała z nią razem i układała pannie kabałę¹⁴. Zapewniała ona też, że można by, zrobiwszy świecę z żyły dziś zmarłego nieboszczyka — sprowadzić czarem Konrada aż pod ten dom, a właśnie wczoraj pod wieczór pochowano na cmentarzu nieznanego włóczęgę — i gdyby tylko kto się odważył grób odkopać i wyjąć z trupa żyłę... to Konrad, choćby był nie wiedzieć jak daleko — musi przyjść — i pokłon oddać. Ale panna Lenora i słyszeć nie chciała o takiej praktyce.

Maciejowa ułożyła karty na stole. Była tam i długa walka — i dalekie wody i lasy i pustynie. Kule (dziesięć trefl) świsnęły dokoła, ale omijały dotąd kierowego króla, który był od nich zawsze daleko; czuwała zawsze nad nim, niby to blisko a niby z dala — blondynka (dama kierowa), która rycerzowi przynosi szczęście... jest krew (as karo), ale jest też powrót (siedem trefl); chociaż ranny (dziesięć pik) — niewątpliwie przybędzie (siedem kier).

Słowem karta przynosi same dobre wróżby. Choć Lenora doskonale rozumiała całą niedorzeczność tej gry, to jednak mimo woli uspokajała się pod wpływem słów niańki.

Maciejowa powiedziała jej dobranoc — i odeszła. Lenora, gdy została sama, niedługo czas pozostawała w spokoju, zbudzonym pocieszającą kabałą.

Mimo woli twarz jej przybrała wyraz smutku; jakby daleki, obcy poświst jęczącego wichru usłyszała w uszach, w samej muszli swego ucha; ciężar, który nigdy nie spadał

¹²szimoza — materiał wybuchowy stosowany przez marynarkę japońską na początku XX w. [przypis edytorski]

¹³ *pomimo wszelkie dobre znaki, albo raczej brak złych* — dziś popr.: pomimo wszelkich dobrych znaków, albo raczej braku złych. [przypis edytorski]

¹⁴kabała — tu: wróżba z kart. [przypis edytorski]

z jej serca, zaczął ją daleko mocniej uciskać; ręce naraz jej zlodowaciały, a w piersi ją¹⁵ ją szarpać niepokój najboleśniejszych przeczuć.

Powoli zaczęła się rozbierać; wyrzała przez okno. Księżyc na pół rozdęty świecił na czystym niebie wśród chorowodu migotliwych słońc i gwiazd. Z sąsiedniej puszczy dochodziły głuche i nieprzerwane jęki i wycia, spoza lasu słychać było gwałtowne ujadanie psów, oszczekujących swoje wizje upiorne. — Naraz te głuche wycia puszczy i te szczekania psów umilkły niby na rozkaz jakiejś woli nieznannej. Cisza stała się w powietrzu głucha i uroczysta i tylko chwilami nietoperz szerokim ruchem kołowym przeleciał powietrze albo sowa gdzieś huknęła, ukryta na wysokiej topoli.

Zapatrzone w tę ciszę nocną — Lenora, zda się, pragnęła sięgnąć okiem aż do Mandżurii...

Była już na pół rozebrana, gdy naraz bardzo blisko domu — niby na gościńcu, usłyszała wielki krzyk:

— Lenoro!

Otworzyła okno. Był to krzyk rozpaczny.

— Lenoro!

To głos Konrada. On tu gdzieś jest w pobliżu... Jakim sposobem, dlaczego — nad tym nie miała czasu się zastanowić. Wyskoczyła oknem do ogrodu — i, narzuciwszy na siebie jakąś chustę, wybiegła natychmiast na gościniec, bo krzyk ten jeszcze się powtórzył. Pod sztachetami ogrodu leżały, przykucnięte i wystraszone, dwa czarne tęgie kundlo-brytany, przeznaczone do straży nocnej koło dworu; skamlały żałośnie, jakby zatrwożone niewidzialną, zbliżającą się tu zmorą.

— Konradzie! — wołała Lenora — idę, idę do ciebie! Gdzie jesteś?...

Była już na gościńcu — okiem osłupiałym patrzyła w błękitny mrok nocy, który nagle szarzał i biał.

Nie wiadomo jak, Lenora znalazła się na wzgórzu, którego dotąd nigdy nie widziała w okolicy; wzgórze, raczej przesmyk — było na prawo zarosłe gęstą wysoką trawą, raczej trzciną; na lewo była ścieżka... na tej ścieżce ujrzała Konrada: w oficerskim ubraniu przesuwał się konno w towarzystwie kilku kozaków — gdy naraz z gęstej wysokiej trawy wypłynęła trzykroć liczniejsza grupa żołnierzy, w których Lenora, przypomniawszy sobie różne obrazki, poznała Japończyków. Oficer japoński szedł wprost na Konrada i próżno Lenora chciała swą ręką odzębnić niebezpieczeństwo. Konrad był już sam, gdyż żołnierze jego padli od kul nieprzyjacielskich, zabici, nim jeszcze Japończycy ukazyli się ze swego ukrycia w trzcinach gaolanu.

I Konrad upadł ostatni obok swych szeregowców. Lenora nie słyszała wystrzałów, ale widziała dym prochu i kule w powietrzu latające. I w chwili, kiedy Konrad upadł, Lenora nad jego głową ujrzała cudowną Madonnę Lorenza Veneziana, która go błogosławiła swymi słoneczno-różanymi palcami.

— Konradzie! — zawołała Lenora, niemiejąc z trwogi i rozpaczny.

Naraz pole gaolanowe i wojownicy japońscy zniknęli.

Na nowo noc zapanowała.

Konrad pozostał sam. Przez mgnienie jeszcze promieniało nad nim widziadło Madonny, ale wnet się rozwiało i we mgle przygasło.

Konrad chwilę jedną leżał na ziemi, ale natychmiast powstał — i, milcząc, zbliżył się do Lenory, patrząc na nią tajemniczo, tym samym okiem, którym niegdyś patrzył na nią przy pożegnaniu...

Nie mówił nic — i Lenora spostrzegła na jego szyi dwie czerwone strugi krwi, toczące się z dwóch ran, zadanych kulami Japończyków. Jednakże w oczach Konrada był jakiś nakaz — jakaś wola... Istotnie, szedł on w stronę cmentarza — Lenora oparła się o jego ramię i szła za nim, niepomna niczego: ani tej nocy chłodnej i milczącej, ani domu, który opuściła, ani dziwu tych zjawisk, co ją otaczały... Wszystko to wydało się jej tak jasne i zrozumiałe, że ani na chwilę nie zapytała siebie, co to znaczy — i czy to prawda — i czy to podobieństwo¹⁶.

¹⁵jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

¹⁶podobieństwo (daw.) — coś możliwego. [przypis edytorski]

Szła smagana wietrzykiem niezbyt surowym, ale chłodnym, październikowym; szła, oparta o ramię Konrada albo raczej jego podpierając, ufna, że nic jej złego stać się nie może...

On ją prowadził gościńcem — w dal od domu matki — a szli tak szybko, że w niecałe minut piętnaście byli u wrót cmentarza — minęli świeżą mogiłę włóczęgi — i ruszyli do tych grobowisk rodzinnych, które Konrad oglądał zawsze, nim stanął w domu narzeczonej.

Wrota cmentarza szczególnym trafem były niezamknięte... Stanęli nareszcie u celu wyprawy, ale w ostatniej chwili nieszczęsna Lenora spostrzegła naraz, że Konrada przy niej nie ma...

Zniknął nie wiadomo jak i kiedy...

I upadła bezsilna, wyczerpana, nieprzytomna u nogi swego ojca...

Nazajutrz rano stróż cmentarny znalazł ją omdłą, prawie sukien pozbawioną — koło grobu. Zawezwawszy pomocy, kożuchami ją nakrył — i odwiózł do domu, gdzie matka z przerażeniem dowiedziała się o zniknięciu córki...

Długie miesiące Lenora, między życiem a śmiercią, leżała w gorączce.

W jakie pół roku po tym zdarzeniu przybyła wieść oficjalna o śmierci Konrada. Przeznaczony do służby wywiadowczej, zginął w walce z podobnym oddziałem japońskim. Zginął tej samej właśnie nocy, kiedy Lenora, widzeniami opętana, poszła na cmentarz za cieniem — i tam upadła zemdlona. Ostatnie słowo zabitego był to głośny krzyk: Lenora!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lange-w-czwartym-wymiarze-lenora>

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Lange, W czwartym wymiarze. Opowiadania, wyd. drugie, Spółka nakładowa "Książka", Kraków [1912].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).